Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. No. 11. Leszno, dnia 12. Września 1840.

Słobodyszcze, powiastka,

przez

Michała Czajkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Przed miesiącami Anna niepokazywała się nigdy gościom, przybywającym odwiedzić pana Jakubowskiego, i mówiono, mąż zazdrośny młodą żonę, jak w muzułmańskim haremie zamkniętą trzyma; i obmowa to była pusta; onby chciał całemu światu ją pokazać, i nią się chlubić przed światem; ludzkim nałogiem, co chce i lubi, żeby wszyscy chwalili i zazdrościli tego, co on posiada; ale nie mógł, Anna niechciała, a teraz sama wychodzi do gości i rozmawia z nimi, i gościnność domu umila grzecznością; tą ponętą, co czarodziejskim urokiem zwabia odwiedziny. Ona to robiła nie z własnego upodobania, ale przez chęć przypodobania się mężowi, przez wdzięczność, ofiarą odpłacała za ofiarę.

Przed miesiącoma nigdzie niechciała wyjechać z Słobodyszcz, jak gdyby chciała żywcem zagrzebać się w Dymitrowym zamku: a teraz sama powiada: jedźmy w sąsiedztwo; i już nie dodaje panie, tylko mówi mężu, a czasami nawet, Pietrze; ah, i jakaż to nagła zmiana. On jéj sprowadza adamaszki i złote lamy, perły i klejnoty, sorokami sobole, i wszystko, czego dusza zapragnąćby mogła, oprócz ptaśiego mleka, bo tego nigdzie nie dostać; czy jéj to radość sprawia, czy nie, tego niewiadomo, ale zawsze na podziękowanie się mu uśmiecha; ona się uwzięła, żeby obudzać w jego sercu nadzieję szczęścia przez wdzięczność.

Goście i sąsiedzi ci, co nieznali dawniéj Anny, mówili: jaki szczęśliwy pan Jakubowski, ma dobrą żonę, co go tak kocha; ci, co ją znali, powiadali czasem: tak kochała Dymitra, a zapomniała o nim; nic dziwnego, zwyczajnie kobieta. W oczach ludzkich Piotr Jakubowski nośił na sobie ciężar ogromnego szczęścia, a w swojém własném sercu żywił cierpką boleść, bo też to boleść jakich mało, mieć bezustannie w myśli i w ustach imie kochanka swojéj kochanki, a do tego żony; i nie módz o nim mówić z gniewem, z nienawiścią, ale z użaleniem się jak o przyjacielu. Jednak już pierwsze nagrody swojéj ofiary widział, a na dal zostawała mu nadzieja.

Tak się działo w Słobodyszczach w zamku między państwem Jakubowskim, kiedy jednéj niedzieli z rana pojechano do Tryhur, na nabożeństwo do kościoła księży Bazylianów; Anna niebyła ni smutniejszą, ni weselszą, jak to jéj obyczaj, od niejakiego czasu. Jakubowski mówił w drodze o Dymitrze; sam rzekł: Dam na mszę, na akafest, i jałmużnę każę rozdać, na intencyą o jego pomyślność, o jego prędki powrót, bo on żyć muśi, tak mi przeczucie mówi. Żona na podziękowanie sama go pocałowała w twarz. Pietrze, jakżeś ty dobry; i łza zabłysła, i półuśmiech poigrał z ustami, pocałunku samowolnego jeszcze dotąd nie było.

W kościele Anna modliła się szczerze na klęczkach, kiedy Bazylianie mnogim chórem poczęli śpiewać hymny na cześć Boga Twórcy i Matki Dziewicy i Zbawiciela rodu ludzkiego, jak zawsze. Czegóż tak nagle modląca się niewiasta pobladła, skłania się skłania, chyli ku ziemi, byłaby się osunęła na kamienną posadzkę, gdyby jéj mąż nie pochwycił i nie wyniósł do zakrystyi. Tam otworzyła oczy: „Słabo mi było!" i chciała stanąć o swojéj śile, a musiała się oprzeć na ramieniu męża.

„Moja duszko, co ci jest takiego?"

„Słabo mi było — to nic — przejdzie — jedźmy!"

„Mój aniele, zajdźmy do księdza przełożonego, tam spoczniesz trochę."

„Oh nie, dziękuję, jedźmy."

„Poczekaj Anusiu, napij się wody, tyś tak pobladła."

„To nic, mój mężu, jedźmy." I wzięła go za ramię, i tak błagalnie mu spojrzała w oczy, że on nie mógł oprzeć się jéj chceniu, i pojechali.

W drodze Jakubowski przypomniał sobie. „Niemiałem czasu dać pieniędzy na intencyą Dymitra, poślę z domu." Ale Anna nic nie powiedziała, tylko parę razy westchnęła smutnie, jakby jaki ciężar przywalił jéj serce. Mąż łamał sobie myśl na odgadnienie, co oná usłyszała w kościele, i zawsze przychodził do tegoż samego wniosku; to jakieś przypomnienie. Anna była smutną, prawie zawsze zamyśloną, ale z mężem uprzejma i dziecię swoje pieściła, tylko kiedy mąż mówił o Dymitrze, ona nic nieodpowiadała.

W tym czasie Bohdanko Chmielnicki powołał część starszyzny kozaczéj do Perejasławia; Piotr Jakubowski musiał tam jechać, kiedy żegnał żonę, to ją ściskał, całował, a ona mu powiadała: „Nie baw długo, powracaj do nas,"

malutkiego synka podała ojcu, i bardzo jéj smutno było.

Ze łzami w oczach wyjechał z domu Jakubowski, zaleciwszy Watażce i sotnikom, ostrożność i pilność, bo to w zawłaszczonym kraju, a tam za lada czém głucha cisza porodzić może gwałtowną burzę.

4.

Słońce zachodziło, gdzieś tam za skryhlowiecki las, a zachodziło krwawo, na wiatr; oh, to chwila dumania; choćby jaki człowiek, kiedy stanie i spojrzy na zachodzące słońce, musi chwilkę podumać, bo to przejście z jasnego ruchu życia, do szarego spoczynku, jest niejako oswajanie z wiecznym snem śmierci.

W Słobodyszczach u zamkowego okna siedziała piękna Anna, na jéj kolanach malutki synek piął się, aby rączętami poigrać z gładkiém licem, z kruczym włosem mamy. Ona, białą dłonią broniła się od jego pieszczot, i powiodła okiem na czerwone słońce, i na płowy step oblekający się mglistym tumanem — westchnęła; wtém dziecina chwyciła ją za palec, i gwałtem chciała zerwać pierścień, pierścień zaręczyn z Dymitrem; łzy jéj stanęły w oczach: „Może to on — jego głos — oh nie, to nie on — on tam być nie mógł;" i spuściła czoło ku dziecinie i jasne jego włoski muskała rumianemi ustami.

Wszedł Watażka zamku, pokłonił się, seledec poprawił, wąs musnął.

„Wielmożna pani, ksiądz Bazylian przyjechał z Tryhur od księdza przełożonego."

„To go prosić, i prosić pana rządcę."

„On chce koniecznie z Wielmożną panią się widzieć."

„To go prosić." Odszedł Watażka, Anna wstała, weszła do drugiéj komnaty, oddała dziecko niańce, i wróciła na powrót.

W komnacie już był Bazylian sam jeden. Czemuż u niego tak dumne czoło, wzrok tak groźny, wszak on mnich, nie pan ziemski, nie ataman Zaporoża. Czegoż ona tak zadrzała, spuściła oczy, i naprzód kroku nie postąpiła, wszak ona nie przestępna niewolnica haremu idzie na zawołanie gniewnego baszy, tylko bogobojna Chrześcianka staje przed kapłanem Bożym.

Mnich potrząsł głową: „Anno! Anno!"

Ona oparła się o ścianę: „Dymitrze, to ty!"

„Ja Dymitr Mohyła, twój kochanek!" i zbliżył się do niéj, i chciał ją wziąść za rękę.

„Dymitrze, litości, ja mam męża!" i padła na kolana.

On jéj nie podniósł, nie dotknął nawet. „Wiarołomna!" takim głosem to wymówił, jak gdyby serce jęknęło, i oboje czas jakiś milczeli.

Na jego śniadą twarz wystąpiło ponure uczucie, czy zemsty, czy rozpaczy, i błyszczało tak smutnie, jak błędny ognik na grobach mogilnika. Wzrok miał posępny i czoło posępne, a postać gibka, rosła, nie punoszyła się dawnym zapałem, i temi przechwałkami nieszczęścia, cechą człowieka, który więcéj chce, jak może, niegarbiła się pod ciężarem nieszczęścia, tym znakiem upadku w niedoli, tém żebraniem jałmużny litości, ale do była w téj mierze zwyczajnéj, która do każdego zagada, nie potrzebuje straszyć, ani téż pomocy i litości niczyjéj nie potrzebuje; cierpię, ale sam sobie wystarczę w mojém cierpieniu.

Ona podniosła na niego łzawe oczy, jakby na wyrzut jego cierpkiemu słowu: „Dymitrze ty wiesz wszystko."

„O wiem, wiem wszystko, daruj Anno;" i wziął ją za rękę, i ona się podniosła, ale zaraz wyrwała swoją rękę z jego ręki.

„Dymitrze, tyś mnich."

„Ja nie mnich, Anno! ja wziąłem suknię mniszą, żeby ciebie pomścić, siebie pomścić —"

„Ja mam męża."

„Zdrajcę ojczyznie, zdrajcę ludziom." Ona pobladła, ale i słowa nie rzekła. „Słuchaj Anno, wyrzeknij się tego człowieka zbrodni, bez czci i wiary!" i chciał ją ująć za ramię; oczy mu pałały miłością i prośbą.

Ona w bok się zemknęła i prędko zawołała, jak gdyby gwałt sercu robiła: „O nie, nie; to mój mąż!"

„Twój mąż?" przez zęby przepuścił grobowy głos. „I ty go kochasz, Anno?"

Ona milczała.

„Mów Anno, tyś z nim szczęśliwa?"

Szepnęła: „Szczęśliwa!" i oczy skryła w dłoń.

„Szczęśliwa! Wiarołomna!" zawołał Mohyła, i wtenczas postawą i twarzą był jak dziki zwiastun śmierci i spustoszenia, jak ataman Zaporoża, kiedy z Kureniami Mołodzców przybieży nad Perekop, powie Tatarzynowi: niechcesz co ja chcę, to ogień i miecz swoje zrobią.

„Słuchaj, Anno, ty niechcesz jechać ze mną, ty niechcesz jego porzucić? Śmierć jemu, śmierć wszystkim jego, ja się pomszczę, zobaczymy!"

Ona drżąca, blada, padła przed nim na kolana. „Stój Dymitrze, Dymitrze; on przyrzekł, on ci wszystko odda."

„Oprócz ciebie."

„On taki dobry, on tak mnie kocha."

„Precz, wiarołomna!" i odtrącił ją od siebie; „ty za nim błagasz, precz, precz!" Ona jęknęła, i twarz przyłożyła do nagiéj podłogi; zimno jéj było, gorąco jéj było; dreszcz porwał ciało, a dusza tak się zbłąkała, iż straciła pamięć. Kiedy otworzyła oczy, była na wezgłowiu, a mnich Bazylian Mohyła klęczał koło niéj, łzami ją trzeźwił, i białą jéj rączkę przyciskał to do ust, to do serca. Z cicha ustami zaszemrała: „Dymitrze, mój Dymitrze!"

„Anno, ty mnie kochasz."

„Kocham, oh kocham!"

Mohyła twarz swoją zbliżył do twarzy Anny, usta nawet przyłożył do jéj ust, pocałował. „Tyś moja, tyś moja,“ i w objęcie ujmował jéj wiotką kibić.

Ona sprężyła się, wymknęła z jego objęcia. „O nie, nie, nie!“ i stanęła na nogi, i oczy jéj błyszczały, i twarz była rozpłomieniona; złożyła ręce jak do modłów: „Dymitrze, litości, ja mam męża.“

I on złożył ręce dłoniami: „Anno, litości, ja ciebie kocham!“

„Nie dla nas szczęście.“

„Dla nas, dla nas, Anno;“ i znowu chciał ją pochwycić w objęcia; ona jeszcze raz obroniła się od gorących uścisków.

„Dymitrze — powinność — ludzie — “ i błagała go oczyma, jakby o życie dla siebie.

„Ty mnie niekochasz, Anno!“

„Oh, kocham!“

„Anno, kiedy mnie kochasz, bądźże moją!“ Wziął ją za rękę, i przyciągnął do siebie; z początku się nie opierała, ale nagle zatrzymała się. „Słuchaj, Dymitrze, ja z tobą ucieknę!“

„Kiedy?“

„Dziś.“

„Zaraz.“

„Jakże, jeszcze dzień, przy ludziach.“

„Prawda, w nocy.“

„A straże?“

Pomyślał. „Słuchaj, Annno! — w komnacie twego — “ zgrzytnął zębem, „tego zdrajcy, za makatą, tam gdzie był wizerunek mojego ojca, niewiem, czy teraz jest,“ westchnął; „o ja wiem, że tam, w téj mojéj komnacie, ten zdrajca obrał dla siebie mieszkanie dzienne; tam w murze jest głowa gwoździa wsunięta w mur, gliną zabielona, chodźmy tam.“

„O nie, ja znajdę, mów Dymitrze.“

„Znajdziesz, prawda, to na gładkim murze dołek znaczny, pociśnij, odskoczą drzwiczki, i zobaczysz wschody; nielękaj się Anno, choć one kręte i ciemne, ale wygodne, bo droga do mnie, do naszego szczęścia; trzymaj się ręką muru, i idź ciągle pieczarą; nie zbłądzisz, tylko kroku niecofnij, idź naprzód; jak usłyszysz szum i mruczenie, nielękaj się; to rozmowa Hnyłopiata ze żwirem i ze skałami, a ja tam będę czekał na ciebie, moja luba, moja jedyna, niezabraknie nam świata, niezabraknie szczęścia; Anno, Anno, ty mnie przyrzekasz.

Spuściła czoło ku ziemi, zarumieniła się jak jagoda maliny, nawet z lekka zadrzała jak liść osiki. „Przyrzekam, Dymitrze,“ i ścisnęła mu rękę lubym uściskiem.

On ją w rękę całował! „Anno, moja Anno!“ głos mu dygotał, twarz mu zakraśnił, oczy iskrzyły się jak żarzewne węgla; z ust gorącym tchem wionął.

„Dymitrze, uciekaj, bo wszystko się nieuda!“ i drzała jak w febrze.

„Anno, jeden pocałunek!“

„Mąż,“ i pocałowała go, „uciekaj!“

On ją ucałował namiętnie, uścisKał nawet. Bądź zdrowa Anno! do północy — pamiętaj! pamiętaj!“ puścił ją z objęcia, i szybko za drzwi wyszedł, widać, żeby się nagle od niéj oderwał, jak pijany, jak szalony.

Ona na wezgłowie padła: „Dymitrze poczekaj, Dymitrze,“ i ramiona ku niemu wyciągała, i usta jak do pocałunku się składały, i oczy na pół się przymykały, polotna rzęsa spadała na nie, i dziwna, nieznana lubość lała się po jéj duszy i po jéj ciele; ale jego w komnacie już nie było.

Długą godzinę trwała rozmowa pani z Bazylianem, a nikt nieśmiał jéj przerwać, choć słyszano głuchy płacz, i głuchy jęk i głośniejsze słowa; nikt nie śmiał wejść do komnaty, bo taki był rozkaz pana. Nigdy niestawić się przed obliczem pani, póki ona sama niezawoła. A ona niewołała i nikt niewszedł, choć niańka Tetiana i Watażka Semen, dawny i niedostępny sługa i towarzysz Piotra Jakubowskiego, byli tuż w pobliżu, gotowi na jéj rozkazy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ubieżenie zamku krakowskiego w r. 1772.

Z Viomenila.

Jednym z najpiękniejszych epizodów konfederacyi barskiéj jest ubieżenie Krakowa w roku 1772., dnia 2. Lutego, przez podpułkownika Choisi, Francuza, w służbie konfederacyi. Udzielamy czytelnikom pisma naszego opis tego ubieżenia, ułożony podług rapportu samego podpułkownika Choisi, i innych współczesnych rękopismów.

Konfederaci zajmując w pareset ludzi Tyniec, dla nadania działaniom swoim wojennym mocniejszéj podstawy, a zarazem dla zrobienia w narodzie śilniejszego wrażenia, postanowili ubiedz miasto Kraków, drugą wówczas po Warszawie stolicę Polski. Ale jak wziąść miasto obwarowane dobrze (przeciw Konfederatom), osadzone działami, wzmocnione palisadami, rowami, strzeżone od 1000 ludzi regularnéj piechoty, którą w kilku godzinach wesprzeć mogło 6000 wojska w okolicy stojącego? O szturmie, bez dział cięższego kalibru, bez amunicyi, ani myśleć nic było można garstce Konfederatów. Postanowiono tedy na jednéj z walnych rad naczelników konfederacyi miasto ubiedz i robiono ku temu rozmaite plany. Tak n. p. archiwista jeden grodzki, mieszkający w zamku, a mający porozumienie z Konfederatami w Tyńcu, doradzał, aby Konfederaci podczas ciemnéj nocy podemknąwszy się bez szelestu pod zamek z drabinkami, takowe przystawili do okna jednego, które zamiast żelaznych



Zamek krakowski z strony wschodnio-południowéj.

drewniane, czarno pomalowane kraty miało. Właściciel domu, tuż pod górą zamkową stojącego, zachęcał Konfederatów, aby z niego podkop do zamku zrobić, i zrobionym otworem ludzi wprowadzić. Przeor karmelicki okazał gotowość zrobienia podkopu szerokiego pod murem ogrodu klasztornego, którędyby się Konfederaci do miasta dostać mogli. Inni jeszcze, inne sposoby, mniéj, więcéj trudne, dostania się do Krakowa, Konfederatom podawali. Projekt archiwisty podobał się najbardziéj, i Walewski, jeden z marszałków konfederacyi małopolskiéj (krakowski), postanowił go wykonać. Dobrawszy sobie kilkuset odważnych, i na wszystko gotowych ludzi, ruszył około dziesiątéj godziny w wieczór z Tyńca, zmierzając manowcami ku Krakowu. Na nieszczęście wśród drogi trafił na podjazd nieprzyjacielski, który spostrzegłszy Konfederatów w znacznéj liczbie, zwrócił natychmiast konie ku Krakowu, ostrzegając garnizon o zbliżaniu się Konfederatów. Po takowém zdarzeniu roztropność nieradziła Walewskiemu zbliżać się do Krakowa, gdzie już zapewne na jego przyjęcie czekano. Wrócił tedy spokojnie do Tyńca, nie dawszy nawet o sobie najmniejszego podejrzenia, że w myśli zamach na Kraków knuje. Nie udanie się pierwszego projektu, stręczyło Konfederatom chwycenie się drugiego, to jest, dostania się do zamku podkopem z domu, który tuż pod górą zamkową stał. Walewski odkrył ten zamiar podpułkownikowi Choisi, zasięgając w téj mierze rady u niego, jako znającego się lepiéj odeń na tém rzemiośle. Wszystko, co jest nadzwyczajnem, awanturniczem, porywa i unosi umysł Francuza. Otoż i Choisi chwycił się skwapliwie tego projektu, i wziął na siebie wykonanie jego. Sprowadził naprzód do Tyńca właściciela owego domu pod górą zamkową, wyliczył mu 2000 dukatów za dom, a wziął w zakład jego rodzinę. Po zawarciu umowy, wprowadzono nieznacznie do domu kilku minierów, i z największą ostrożnością robotę rozpoczęto. Ta gdy tak daleko posuniętą była, że tylko cienka warstwa ziemi do przebicia zostawała, aby się do zamku dostać, uwiadomiono o tém niezwłocznie pana Choisi; przytém oznajmiono mu, że podkop z ogrodu karmelickiego jest już także gotowy. Oprócz tego jeden z Konfederatów dobrze obznajmiony z miejscowo-



Zamek krakowski z strony zachodniéj.

ścią wskazywał jeszcze trzecią drogę do zamku, to jest rynsztok, odprowadzający do Wisły ścieki zamkowe, tak szeroki, że wnim po jednemu czołgać się było można.

Gdy już wszystko było przygotowaném, a sekret ściśle zachowanym, podpółkownik Choisi wyszedł z Tyńca w 500 ludzi, ubranych w białe koszule na wierzch mundurów, dla wzajemnego w ciemnéj nocy poznania się; szedł manowcami, dla uniknienia podjazdów nieprzyjacielskich, a gdy już pod samo miasto się zbliżył, podzielił garstkę ludzi swoich na kilka oddziałów. Trzydziestu ludzi pod dowództwem oficera francuzkiego de Saillans, posłał do domu pod górą zamkową; drugie trzydziestu, pod dowództwem kapitana de Viomenil, do rynsztoku, sam zaś na czele 400 ludzi, poszedł do muru ogrodowego u Karmelitów, dokąd tak źle był prowadzonym, że gdy u muru stanął, połowa jego ludzi zabłąkała się w drodze, musiał więc na nią przeszło godzinę czekać. Gdy nadeszła, było już w pół do czwartéj. Kazał zatem przewodnikowi wskazać sobie obiecany otwór, którego nigdzie nieznalazłszy, i niechcąc czasu tracić na wdzieraniu się do zamku otworem zrobionym przez minierów, tak ciasnym, że ledwie jeden żołnierz mógł się weń wmieścić, powrócił do Tyńca. Oddziały pod dowództwem panów Saillans i Viomenila były szczęśliwsze. Viomenil przybywszy do rynsztoku, rzucił się weń bez namysłu; za przykładem walecznego dowódzcy poszli jego podkommendni, poszedł i Saillans z swoim oddziałem. Viomenil dostawszy się na podworze zamkowe, ubił natychmiast drzemiącego żołnierza, na straży stojącego; taki sam los spotkał drugiego żołnierza z straży i oficera, który mu się późniéj nawinął. Wszystko to stało się bez najmniejszego szelestu i w oka mgnieniu. Tymczasem cały oddział wszedł rynsztokiem na dziedziniec zamkowy, a ujrzawszy w jedném oknie światło, domyślił się, że to jest odwach, i uderzył nań z straszliwszym okrzykiem: złóżcie broń! Nieprzyjaciel rozmarzony snem i gorzałką, przerażony samym widokiem ludzi w koszulach, błotem powalanych, poddał się natychmiast, wyjąwszy kilku ludzi, którzy wyskoczywszy oknem, potrafili ujść z zamku, i donieść swoim w mieście, co się na zamku działo. Uderzono zatem w mieście w bębny na alarm, a gdy nieprzyja-

ciel całą śiłę swoję na rynku zebrał, ruszył z działem jedném ku zamkowi, kazawszy doń strzelać bez przerwy z ręcznéj broni i z armaty. Choisi, który z swoim oddziałem już się pod Tyńcem znajdował, usłyszawszy strzelanie, domyślił się natychmiast, że oddziały pod dowództwem Viomenila i Saillans zamek opanowały; wrócił przeto niezwłocznie ku Krakowu. Tymczasem Konfederaci w zamku odparli trzy szturmy dziesięć razy liczniejszego nieprzyjaciela, ubiwszy mu kilkudziesiąt, a raniwszy kilkaset ludzi. Z tém wszystkiém dziewięciogodzinne natężenie śił, przewaga numeryczna nieprzyjaciela, nareszcie niepodobieństwo bronienia dłużéj w sto kilkadziesiąt ludzi warowni dosyć rozległéj, ze wszech stron atakowanéj, przekonywały oblężonych, że im nic nie pozostawało, jak kapitulować, albo się zbrojną dłonią przez szyki nieprzyjacielskie przebić. Obrali ten ostatni środek. Już się do wykonania go gotowali, już chcieli bramę otworzyć, gdy huk ręcznéj broni około mostu, zwiastowały im pomoc niespodzianą. Byłto Choisi z oddziałem swoim, który wdarłszy się do miasta nagłą napaścią, z tyłu nieprzyjaciela zmieszawszy, wszedł do zamku z swoimi ludźmi, wprowadziwszy doń także jednę armatę; drugą, do użycia zdatną, zastali tam już Konfederaci. Choisi znalazł w zamku skład niezmierny rozmaitych rzeczy, jakoto owsa i siana na 1000 koni na kilka miesięcy, mąki kilkaset wierteli, mnóstwo zboża i amunicyi. Nieprzyjaciel utracił w tym ataku 120 ludzi w zabitych, 91 w jeńcach; z strony Konfederatów odnieśli rany oficer francuzki Charlot, major Wąsowicz i czterech prostych żołnierzy.

Choisi stanąwszy w zamku, posłał do barona Viomenil, generała w służbie konfederacyi, i do marszałka Walewskiego raport obszerny o całém tém zdarzeniu, i żądał pomocy w celu odebrania miasta samego z rąk nieprzyjaciela. Walewski posłał w skutek tego wezwania podpułkownikowi Choisi 150 dragonii do zamku krakowskiego, a z Lanckorony ściągnął do Tyńca 250 piechoty i dwa działa pod dowództwem Dzierzbickiego, marszałka powiatu łęczyckiego, mając dnia 3. Lutego 1772. r. na Kraków uderzyć. Tymczasem dowiedziawszy się w marszu swoim na Kraków, że nieprzyjaciel wzmocnił załogę swoję w tém mieście, zmienił plan opanowania miasta, i postanowił wprowadzić do zamku oddział piechoty z jedném działem, pod dowództwem oficera francuzkiego Galiberta. Po śilnym oporze z strony nieprzyjaciół, oficer ten przedarł się do zamku, utraciwszy 40 ludzi w zabitych, a między tymi porucznika Lisieckiego. Wczasie tego ataku Choisi znalazł sposobność doniesienia Walewskiemu, że dnia 5. t. m. zrobi wycieczkę, i wezwał go, aby ją całemi wsparł śiłami. W nocy z dnia 4. na 5. Lutego zbliżył się Walewski z całą jazdą swoją pod Kraków, ale dowiedziawszy się, że Suwarow z piechotą, a Branicki z ułanami już go uprzedzili, wrócił do Tyńca, straciwszy kilkadziesiąt ludzi w zabitych i pojmanych.

Po cofnieniu się Walewskiego do Tyńca, Suwarow obległ zamek w 5000 ludzi. Choisi, dla łatwiejszéj obrony, spalił przyległe zamkowéj górze domy, blisko bramy grodzkiéj, i zrobił dnia 13. Lutego wycieczkę, w któréj 200 ludzi nieprzyjacielowi ubił, lub w niewolą zabrał. Od dnia 13. do 19. nieprzyjaciel dawał wciąż ognia do zamku, z ręcznéj broni i z dział. Ogień ten ponowił w dniu 27. i 29. Lutego, ale zawsze z znaczną stratą odpartym został. Wszakże, gdy oblężeni niedostali zniskąd odsieczy, gdy głodem i nieustannemi trudami, a nareszcie i chorobami wycieńczeni zostali, musiał waleczny Choisi w dniu 27. Kwietnia t. r. kapitulować.

K r a l i c e.

Gra ta znajoma u Serbów i Czechów, u innych pokoleń słowiańskich nieznana, a przynajmniéj dotąd nieodkryta. **Kralice** grają zwyczajnie każdego lata, i to nie na jedném miejscu, ale przed każdym domem we wśi. Początek gry zaczyna się przed domem **królowéj**. Pierwsza pieśń, którą śpiewa grono dziewcząt, stanąwszy przed jéj domem, zawiera prośbę do gospodarza i gospodyni, by wynieśli tron (stolice), na którymby usiąść mogła królowa. Jeżeli do drugiéj wśi w Serbii idą, dwaj młodziency uzbrojeni odprowadzają drużynę królowéj.

Grę tę poszczególnie tak odbywają: Całe grono dziewcząt składa się z dziesięciu lub piętnastu stanowiących koło. Na lewém skrzydle tego koła stoi piękna i obrotna dziewczyna, mając na głowie czepiec kwiatami ozdobny, w prawéj ręce trzyma miecz, i zowie się kral (król). Na prawém skrzydle koła stoi drugie dziewcze, równe urodą pierwszéj, znamienitsza ozdobniejszemi szaty, dzierży w prawéj ręce na kopii proporzec białéj a czerwonéj barwy, i zowie się chorąży (praporecznik-bariaktar). W pośród koła siedzi na stołku dobrze wyuczona dziewczyna wyższego wzrostu, któréj lica okryte są białym rańtuchem, a zowie się kralica (kralka-królowa); od niéj to całe igrzysko przybrało i nazwę. Przy niéj stoi ciągle jedno dziewcze, a mianuje się **komorna** albo dworzanka (dvorkiňa). Całe koło potém wolnym krokiem się obraca, i śpiewa pieśni według porządku ustanowione. Król niepostępuje za kołem, ale z obróconą twarzą, ku pierwszemu dziewczęciu w kole zwolna się posuwa, a mieczem macha. Chorąży z obróconą twarzą do tegoż dziewczęcia wywija proporcem nieustannie. Po niejakiéj chwili król i chorąży po jednemu zwracają się na swoje miejsca, obcho-

dzą w około całego koła; a stanąwszy na pierwszych stanowiskach, na nowo jak pierwéj grę rozpoczynają. Wuk Stefanowicz przytacza pieśń następną jako bardzo dawną, bo znaną przed czterma wiekami w Serbii:

Królu światły królu
Leljo!
Wstań i przejdź się
Kralice-Banice!
Wstań, i przejdź się
Od dworu, do dworu
Od dworu do dworu
Leljo!
Do Carewa stoła
Leljo!
Gdzie car wino pije,
Caryca mu służy
Ze złotą czaszą
Leljo!

K. Wł. Wojcicki.

System odosobnienia w więzieniach, przystósowany mianowicie do młodocianego wieku.

Więzienie, razem dom poprawy, w Paryżu dla młodych przestępców przeznaczone, zwane *de la Roquette*, już od dawnego czasu dwa mieściło oddziały; jeden dla tych, co na mocy wyroku sądowego, na odsiedzenia dłuższego lub krótszego więzienia wskazani; drugi dla owych małoletnich, co na żądanie rodziców lub opiekunów, celem poprawienia złych ich skłonności, tamże oddawani zostali. Lubo obydwa oddziały różne od siebie, przecież w obchodzeniu się z nimi, wszelką zachowywano równość, i podczas nocy tylko więźniów odosobniano. Przestawanie ich z sobą, w godzinach zatrudnień, godzinach obiadowych, chwilach odpoczynku, najniekorzystniejsze sprowadzało skutki, i przyznać można, że częste przypadki recydyw, jedynie z powyżéj przytoczonego powodu wynikały. Po wielu naradach więc, przedsięwzięto rządzić część więzienia podług systemu w Ameryce używanego i umieścić młodych uwięzionych, nie wyrokiem sądu osadzonych, tak w dzień, jako i w nocy, każdego z osobna, lubo pod ścisłym dozorem. Doprowadzono zamiar do skutku; a o takowym udziela nam Gazeta trybunałów (Gazette des Tribunaux) pod dniem 11. Stycznia r. b. następujące wiadomości: Oddział poprawy ojcowskiéj (le quartier de la correction paternelle) odsobniono od oddziału młodych przestępców (quartier des detenus). W wspomnionym oddziale, mieszczą się dwa rzędy cel, na wspólny korytarz wychodzące, gdzie do poprawy przeznaczonych zamykają. W drzwiach znajdują się otwory, którędy przechadzający się po korytarzu dozórca, każde miejsce w celi okiem przejrzeć, i wszystko, co się w niéj dzieje, spostrzedz jest w stanie, gdy mieszkaniec celi żadnym sposobem dostrzedz nie może, że ktoś nań uważa, oraz, co się zewnątrz dzieje. Cele dostateczną obejmują przestrzeń, w źimie i w lecie świeże otrzymują powietrze: źimową porą ogrzane i całą noc oświecone. Młodzieniec, oddany tamże na poprawę, dyrektorowi tylko z nazwiska jest znany. O pewnych godzinach otrzymują uwięzieni pożywienie. W innych porach uczą ich czytać, pisać i rachunków, oraz zatrudniają ich podług okoliczności małemi robotami, nieodmawiając im książek. Duchowny, dyrektor i lekarz miejscowy odwiedzają ich często, a codzień przechadzają się po godzinie, w odosobnionych miejscach, lecz po jednemu tylko, w towarzystwie dozórcy miejscowego. Przed tą reformą, w czasie, gdy uwięzieni wystawieni byli na niebezpieczeństwo życia wspólnego, na czternastu uwolnionych jedenaście liczyć można było recydyw. Od czasu zaś odosobnienia, tak dziennego jako i nocnego, w sto-pięćdziesięciu uwolnionych dwie tylko trafiły się recydywy.

Na poparcie tego twierdzenia, możnaby wiele przytoczyć faktów, między innemi następujący jeden przykład: Czternastoletni chłopiec, należący do oddziału skazanych przez sąd na więzienie, nie mógł być znaglonym do pracy. Napominania, groźby, kary, wszystko nie trafiało do celu: chłopiec tak daleko się posunął, iż oświadczył, że jeżeli go daléj do pracy przymuszać będą, sam sobie kalectwo zada, i w istocie, gdy jednego dnia większe jak zwyczajnie czyniono mu wyrzuty, porwał za blisko leżący topór i jednym zamachem odciął sobie palec wskazujący u prawéj ręki. Natychmiast przeniesiono go do oddziału (correction pationelle), zamknięto go w celi, i zostawiono go w odosobnieniu bez zatrudnienia, dla uniknienia którego, tak bolesną przyniósł ofiarę. Podczas pierwszych dni odosobnienia, krnąbrność jego i burzliwość się wzmagały, poczém nastąpiło znudzenie, tęsknota; żądał książek lub jakiegokolwiek zatrudnienia dla rozrywki; odmówiono mu jednego i drugiego, i pomimo próśb jego, miesiąc go tak cały przytrzymano. Po dwóch miesiącach nakoniec odosobnienia, dano się złagodzić naleganiom i łzom młodzieńca, co tak usilnie o zatrudnienie błagał, jak wprzód od takowego się chronił. Teraz stał się najlepszym robotnikiem w warsztatach zakładu, i ani jednéj nie otrzymał kary, od czasu uwolnienia go z odosobnienia.

Zdarzenie owego chłopca jest tylko powtórzeniem kolei, z niejaką różnicą jednak, wszystkich umieszczonych w więzieniu dzieci i młodzieńców. W pierwszych dniach następuje najprzód mocne wzburzenie, poczem uspokojenie się, nudy, tęsknota, nakoniec okazuje się potrzeba zatrudnienia, a z nią pokora i żal. Powyższe przytoczenie małéj ilości recydyw, nie jest jedynym skutkiem trafnie użytych w zakładzie środ-

ków, gdyż sposób użyty nie tylko uchronił od recydów, ale w większéj liczbie przypadków zrządził całkowite przeistoczenie się i trwałą poprawę, i na dowód tego przytoczyć możemy, że wielu z młodzieńców od siedmnastu do ośmnastu lat wieku, niektórzy należący do wyższego rzędu spółeczeństwa, przez odosobnienie, przemienili gorszące skłonności w życie pracowite i moralne, ciągle z dyrektorem zakładu w najściślejszych zostają stósunkach, i szczerą okazują mu wdzięczność.

Młodzieniec, około lat siedmnaście mający, oddany wszelkiéj rozpuście, oraz próżniackiemu i na wszelkie złe rozpasanemu życiu, przyjęty został do zakładu poprawczego. Po kilku dniach wzburzenia oddał się pracy, rzec można, z namiętnością. Po sześciomiesięcznéj karze, wypuszczono go na wolność. Jednakowo po upływie miesiąca wolności, powrócił, oświadczając dyrektorowi, że ojciec jego wszedłszy w nowe związki małżeńskie, okazuje ku niemu niechęć, przez co należytego nie może otrzymać schronienia, żąda więc przyjęcia do dawnego odosobnienia, dla ochronienia się od pokusy i wrócenia do dawnego występnego i nieczynnego życia. Lubo wolny, żądał na nowo odosobnienia i jako dobrodziejstwo przyjmował, co dawniéj dla niego karą być miało. Na żądanie jego, na nowo w celi go odosobniono, nim przez wpływ jednego z członków komitetu dozorczego, otrzymał miejsce w zakładzie gospodarczym, stósowne jego pracowitości i dobrym okazanym zamiarom.

Ile w moralnym względzie wartość przytoczonego systemu nie do zaprzeczenia, tak nie tyle wyrzec można co do stanu zdrowia odosobnionych; ponieważ w skutek ostatniéj rewizyi w więzieniu de la Roquette, między 480ciu uwięzionymi za wyrokiem sądowym, okazało się 60ciu chorych. W oddziale zaś (de la correction paternelle) ani jeden przypadek choroby się nie zdarzył.

Z owego rezultatu okazuje się, iż odosobnienie bynajmniéj zdrowiu nie szkodzi. Z gazety, zkąd wiadomości te czerpane, wyczytujemy, iż więzienie la Roquette jedyném jest więzieniem we Francyi, gdzie system odosobnienia zaprowadzony; że jednakowo Rząd podobny zakład dla młodych więźniów w mieście Tours urządzić zamyśla. Bodajby wszędzie tak pomyślny skutek zyskał naśladowanie!

A. K.

Nr. 12. Przewodnika rólniczo-przemysłowego zawiera następujący artykuł:
Rozprawa konkursowa o fabrykacyi cukru z buraków. (Dokończenie.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)